Nr. 24. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 10 Czerwca 1871

Redakcja przy ulicy Berlińskiéj Nr. 14.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

TREŚĆ: Filozofja natury przez Henryka Levittoux, krytycznie przedstawił Karol Libelt. (Ciąg dalszy.) — Pod jednym dachem, powieść W. Skiby. (Ciąg dalszy.) — Strzaskana lutnia. Z wspomnień ostatniego powstania, przez Henryka Merzbacha. — Wiadomość o „Vassar College", pierwszéj akademji dla kobiét w północnéj Ameryce. Dr. W. M. Olendzki. — Kronika Tygodniowa. — Korespondencja ze Lwowa. — Jeszcze słów kilka o Dr. Raciborskim. Ciborowski Adam. — Pan prezydent miasta Krakowa w kłopotach. Obrazek sceniczny w 2 aktach, napisany przez Józefa Narzymskiego. (Ciąg dalszy.) — Szkice z podróży w Tatry przez Walerego Eljasza. (Ciąg dalszy). — Ogłoszenie. — Skrzynka do listów.

Filozofja natury

przez

Henryka Levittoux,

krytycznie przedstawiona

przez

Karola Libelta.

(Dalszy ciąg).

h) Filozofja słońca. Wszechświat.

Filozofja słońca jest tu także tylko rozumowaniem o słońcu; chyba dla tego tak nazwana, że nic o niém nie mamy pewnego i samemi domysłami pomagać sobie musimy. Odległość dwudziestu miljonów mil od ziemi nieprzepartą stawiała i stawia jeszcze tamę naszym badaniom o słońcu. Plamy czarne raz po raz na jego tarczy pokazujące się i poruszające się po niéj, pierwsze zwróciły uwagę na fizyczną naturę tego centralnego ciała naszego systemu planetarnego. Ale i natura tych plam nie została dotąd do przekonania wyświeconą. Galileusz udokumentował ich rzeczywistą istność i miał je za planety około słońca krążące. I rzecz dziwna, że p. Levittoux to uważanie pomienionego astronoma przyjął także za swoje. Jeżeli pytamy dla czego, oto, „że plamy zmieniają co chwila swoje tarcze na słońcu; że fenomen ten nie miałby miejsca, gdyby były rzeczywistemi plamami" (str. 303).

Galileusz posługiwał się lunetą, która tylko siedm razy przedmiot powiększała. Tak słabym teleskopem, acz nim odkrył księżyce Jowisza, nie mógł odkryć całocieni i półcieni, plam słonecznych, i zapewne nie odkrył téj okoliczności, która hipotezy jego obala, że te całocienie i półcienie się zmieniają i że cała plama nie ma figury kulistéj, jakąby jako planeta mieć musiała, ale ma obwody najnieregularniejsze, wielekroć w czasie pochodu swojego przez tarcz słońca zmieniające się. To też żaden z następnych astronomów hipotezy téj nie podjął a późniejsze odkrycia całkiém ją uniemożniły.

Plamy czarne przechodzące od jednego do drugiego krańca tarczy słonecznéj posłużyły do wskazania, że słońce się około swéj osi w 25½ dniach obraca. Dwie teorje istnieją co do wytłomaczenia tych plam. Wilson i William Herschel astronomowie angielscy, za którymi poszli Lalande, Bode, Laplace i A. Humboldt, uważają glob wewnętrzny słońca za ciało ciemne, otoczone atmosferą, po nad którą roztacza się fotosfera czyli obłocz skoncentrowanego światła i gorąca. Gdy przez gwałtowne wstrząśnienia obłocze te na wskroś się rozrywają, przegląda ciemna powierzchnia globu słonecznego. Półcienia i przycienia powstają wedle tego, czy i w jakiéj mierze i atmosfera słoneczna przerwana.

Całą tę teorję obala analiza spektralna. Bunsen, prof. z Heidelbergu, wskazał, że czyste światło daje widmo (spektr) bez żadnych kresek na niém; że światło, w którém się pali sól jaka metaliczna, daje widmo z kreskami jasnemi; że jeżeli pierwsze światło przez drugie przepuszczam, powstaje widmo z kreskami ciemnemi. Pokazało się nadto, że każde ciało mineralne ma osobne kresy kolorowe na widmie. Kiedy i widmo

światła słonecznego przedstawia mnóstwo kresów ciemnych, uczyniono ztąd śmiały wniosek, że słońce składa się z podwójnego światła, że jest wewnątrz siebie czystém światłem palącego się albo gazu albo płynu, albo ciała stałego, a że zewnątrz siebie jest palącą się fotosferą, w któréj płoną odrobiny ciał mineralnych, nie z wnętrza słonecznego ciała, ale z eteru tam naniesione, i że kolorowe jasne rysy fotosfery zamieniły się dla tego w ciemne. Odkrycie Janssena 1868 r. zrobione na protuberancjach potwierdziło ten wniosek, bo widmo protuberancyjne daje rzeczywiście kresy jasne palącego się wodorodu.

Wedle téj teorji p. Emil Gautkier z Genewy tak tłomaczy plamy czarne na słońcu. Temperatura roztopu ognistego słonecznego musi się zmniejszać ku obwodowi i w skutek oziębienia się warstw powierzchnych, tężeją takowe miejscami i obracają się wraz z słońcem, przedstawiając się nam jako plamy; czarne, jeżeli grube, półciemne jeżeli płytkie, poprzeżynane pręgami świetelnemi, jeżeli popękane. Z podwyższeniem gorąca roztapiają się na nowo, już zmieniając kształty swoje, już niknąc zupełnie.

Pan Levittoux, wbrew tym odkryciom, nie daje im wiary. Mylnie utrzymuje (litt. c. str. 286), że wedle teorji spektralnéj, atmosfera słońca składa się z wodorodu i tlenu (kwasorodu). Dotąd nie odkryto tam rysów kwasorodowych i jeżeli kwasorodu tam nie ma, to oxydacje na słońcu są niepodobne. Autor nie pojmuje, aby w tak wysokiéj temperaturze połączenia chemiczne miejsce mieć mogły, więc jeżeli się tam znajdują żelazo, nikiel, miedź i t. d. mogły się tylko do fotosfery ulotnić z jądra słonecznego, które dla tego musi być ciałem ciemném. Autor zapomina, jak niknąca cząstka minerału jest dostateczną do dania kreski na widmie, a jeżeliby i ta cząsteczka zalotniła się w temperaturze słońca, toć i gaz mineralny wywoła to samo następstwo. Jeżeli spektroskop (str. 283) wykrywa w każdym punkcie ziemi i w każdéj chwili sodium, to dla tego się dzieje, że wiatry ulatniającą się sól morską z rozległych wód oceanów, na wszystkie lądy roznoszą może dla zdrowia istot żywotnych, ztąd cząsteczki soli w powietrzu się unoszą i same do płomyka spektralnego wpadają. Dość strzepnąć kurzawę z jakiego przedmiotu, aby z niéj cząsteczki soli w powietrze rozrzucić.

Protuberancje, które autor nazywa wyskokami świetelnemi słońca, uważa tak jak ogony komet za proste złudzenie optyki. Wiadomo, jak ogromne w astronomji wrażenie zrobiło odkrycie kolorowego widma wodorodowego w widmie protuberancyjnego światła. W obec takiego faktu, przepowiedzianego dwa lata wprzody przez Normana Lockyer, a dokonanego najlepszemi instrumentami przez Janssena, utrzymywanie naszego autora wydaje mi się za śmiałe. Nawet Leverrier, niezawodnie najgenjalniejszy z żyjących astronomów, a wziętości i sławie innych nie bardzo przychylny, nie śmiał zaprzeczyć wartości odkryć Janssenowych, albo zniżyć do złudzenia optycznego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

— Jakiéj znów Małgorzacie?...

— Służącéj od pani Tuckiéj... widziała pańską narzeczoną jak wychodziła od pana... pan jéj świeciłeś...

— Ja świeciłem?...

— Pan... Małgorzata wyraźnie powiedziała to doktorowéj, a doktorowa wszystkim.

Nie wiedzieć czemu gniew Pilskiego nagle przemienił się w śmiech pusty. Może mu się przypomniały tajemnicze głosy północne i rozśmieszyło go, że weń bytność jakiéjś kobiety w jego mieszkaniu wmawiano i przez jakieś sztuczne szmery chciano jego samego o tém przekonać.

— I któż to był tą osobą, — śmiejąc się zapytał Kazi.

— Naturalnie, że panna Iza... niechże pan raz przestanie udawać, że pan niby o niczém nie wié... niech się pan przyzna choć przedemną, ja przecież nikomu nie powtórzę...

— A gdzieżbym ja cię posądzał, moja Kaziu, — odpowiedział lokator, — żebyś ty takie rzeczy komu powtarzała...

Taka odpowiedź wydać się mogła łatwo, i Kazi wydała się rzeczywiście, ubocznem potwierdzeniem plotki.

Była zadowoloną, jakby tylko na to polowała i nie dopytywała się już o nic więcéj, zakręciła się tylko po pokoju, pomajstrowała tu i owdzie, zbliżyła się do pieca, otworzyła drzwiczki, zajrzała wewnątrz, zapomniała zamknąć i wybiegła.

Pilski zupełnie nie uważał na te manewra.

— Tém lepiéj, — rzekł do siebie po odejściu Kazi, — słusznie zrobiłem, posyłając anonimy doktorowéj... kto takie baśnie stwarza, wart być narażonym na śmieszność.

Wieczorem nasz bohater położył się spać dosyć wcześnie i nie przeczuwał wcale, że noc, którą miał przebyć, będzie w dziejach życia jego pamiętną.

Około północy obudził się nagle. Miał jeden z tych przykrych snów, które nazywają zmorami. Szedł niby wąziuchną kładką, rzuconą po nad przepaścią, któréj głębia go przerażała. Przyszło mu na myśl, że gdyby nań kto zawołał, toby wpadł w otchłań bezdenną, którą miał pod swemi stopami, i prawie jednocześnie wydało mu się, że go ktoś woła po imieniu, że się ogląda, traci równowagę i spada.

Nie spadł jednakże tylko się zerwał na równe nogi i głośno zapytał:

— Kto tam?

Przez chwilę nie było żadnéj odpowiedzi. Pilski już miał się położyć na powrót, przypisując usłyszane głosy sennym marzeniom, gdy nagle dało się słyszeć znowu przytłumione, jakby oczywiście z za świata dobiegające uszu jego wołanie:

— Józefie!...

— Kto tam? — powtórzył przecierając oczy.

— Józefie!... upamiętaj się... porzuć grzeszne myśli, — mówił daléj ten sam głos, którego źródła niepodobna było odgadnąć.

Pilski nie był przesądnym, nie wierzył w strachy, jak już mieliśmy sposobność się przekonać, mimo to bezwiednie wyrwało mu się z ust powszechnie używane w podobnych wypadkach wyrażenia:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!...

Głos wyraźnie nie słyszał, co do niego mówiono, bo swoje recytował daléj:

— Józefie!... upamiętaj się... porzuć grzeszne myśli... żyj... nie podnoś zbrodniczéj ręki na siebie samego...

— A to mi się podoba!... — zawołał Pilski, — kochany panie duchu, musisz być mylnie poinformowany... nie myślałem nigdy o samobójstwie.

I ta replika nie pomogła. Głos niezmięszany prawił wciąż swoje, powtarzając jedno po parę razy, — chodziło mu widać o to, ażeby był jak najlepiéj dosłyszanym i zrozumianym.

— Nie podnoś ręki na siebie samego... żyj... Izydora cię kocha... żyj dla niéj.

Na tamtym świecie, z którego posłaniec przemawiał w téj chwili do naszego bohatera, miano, widać, o tajnych zamiarach i obawach Pilskiego taką samą idée fixe jak zacna ciocia Petronela.

Pilski zupełnie już rozbudzony nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

— Izia... spodziewałem się tego... piękna Izia!... rekomenduje mi ją niebo czy piekło... ależ to nieocenione doprawdy!...

— Żyj dla Izydory, ona cię kocha, — grzmiał daléj głos nadziemski, — wierz słowom twego anioła stróża.

— Teraz wiém przynajmniéj, — roześmiał się znów Pilski, — z kim mam zaszczyt rozmawiać... Godziłoby się jednak podziękować temu aniołowi stróżowi, który mnie wyraźnie nie słyszy...

Zastanowił się przez chwilę jeszcze zkąd ów głos cudowny mógł pochodzić. Zapalił szybko świecę, i gdy znowu się słyszeć dało: „Józefie!... porzuć grzeszne myśli“, oko jego mimowolnie spoczęło na drzwiczkach od pieca, które figlarna Kazia zamknąć zapomniała.

— Tam... w piecu!... — zawołał, — słowo daję w piecu... mój anioł stróż powala sadzami swoje śnieżne skrzydła!... Trzeba mu powiedzieć, że słyszałem głos jego i że zastosuję się do jego rady.

Poszedł do pieca i przyłożywszy usta do drzwiczek z całéj siły płuc swoich wrzasnął:

— Hijor hi!...

Duch nadziemski, obrażony widocznie tym kominiarskim okrzykiem, umilkł natychmiast i ani słówkiem więcéj nie zakłócił dalszych snów naszego bohatera.

XI.

Pigułki doktora Tuckiego zmieniają postać rzeczy.

Nazajutrz rano Pilski obudził się w takim doskonałym humorze jak nigdy. Gdybyśmy nie odgadli od razu, kto był właściwym cudotwórcą Babiéj wyspy, posądzilibyśmy doktora Tuckiego, że to on robił cuda, żeby swego pacjenta ze złego humoru wyleczyć. Niestety jednak nie możemy szanownemu Eskulapowi przypisywać taumaturgicznéj potęgi, sprawiedliwość bowiem wyznać nam każe, iż wesołe usposobienie przyszło Pilskiemu bez najmniejszego współudziału medycyny, a może nawet na przekór sztuce doktora, głównie za wpływem pocieszających słów anioła stróża, który naszemu bohaterowi przyniósł z lepszego świata radosną pewność, że był kochanym.

Wesołe to usposobienie trwało jednak tak krótko, jak marcowa pogoda.

Nie wstając jeszcze z łóżka, Pilski zażył aż dwanaście pigułek, które mu przepisał doktor Tucki, i do których zalecił przyzwyczajać organizm, biorąc je zrazu w bardzo małéj dozie.

W kwadrans po zażyciu tego leku, ów dobry humor, z którym się obudził, jakby coś ręką odjęło naszemu bohaterowi.

O medykament, odbierający bardzo prędko wesołe usposobienie i wywołujący w kwadrans po zażyciu przykre grymasy na twarz pacjenta, nie trudno, jak wiadomo, w medycynie; pigułki doktora Tuckiego nie należały przecież do pospolitych tego rodzaju preparatów. Pacjent po nich nie uczuwał żadnéj boleści, ale smutniał, smutniał stopniowo, twarz jego zachodziła chmurami, jak niebo, gdy się zbiera na deszcz, do oczu zaczynały nadpływać łzy, jakby gruczoły łzowe przepełniły się niemi, a myśli przybierały coraz posępniejszą barwę, coraz czarniejszemi zaludniały się obrazami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Strzaskana Lutnia.

Z wspomnień ostatniego powstania

przez

Henryka Merzbacha.

ἀνάγκη.

Prolog.

Są sny ducha — Snów światy. Człowiek na téj ziemi
Wspomina czasem snów tych dalekie obrazy
Mgliste, łzawe, przewiewne... i karmi się niemi
Jak spragniony Beduin krynicą oazy.

Są chwile gdzie się dusza w zaświaty wyrywa —
A wtedy czyta wieki na niebiosów czole —
I o tych wiekach czarów poemata śpiewa —
Wyższe życie przeczuwa — cierpi wyższe bole...

To światy nieśmiertelne — wielkie światy ducha!
Niedostępne dla wiedzy — milczące dla ucha —
Nieskończone — bez ciała, bez lat i przestrzeni...

Tylko serce oddźwięków nieskalanych słucha —
Tylko wieszcze z nich tworzą wieńce swoich pieni —
Tylko słońce z nich splata warkocze promieni!

* * *

Roztwarły się wzburzonych obłoków otchłanie...
Jakaż postać złotemi promieńmi połyska?
Cierniową ma koronę i z tęczy ubranie —
A harfa siedmiostrunna tkwi w dłoniach zjawiska.

W blaski zorzy cierniowy przystrojony wieniec
Oświeca czoło blade i piersi śnieżyste —
Pod stopami jéj ziemia — biedny potępieniec —
A skrzydła jéj unoszą anioły przeczyste.

A ona?... Na najwyższym stanęła gór szczycie —
I zadrżały te góry!... Z pod jéj drżącéj dłoni
Płyną tony gorące — głos jéj budzi życie —

Śniegi pod nim topnieją na gór zimnéj skroni —
I we łzy rozperlone, spływają w zachwycie
Srebrnemi strumieniami po zielonéj błoni...

* * *

„I ja żyłam na ziemi i cierpiałam z wami,
Bracia, te niepojęte dla aniołów bole!
Duszę strzaskaną miałam — karmiłam się łzami
I cierniową koronę nosiłam na czole.

I ja waszą miłością kochałam na ziemi —
Tą miłością co cierpi — cierpieniem co łamie —
Związana byłam z niebem więzy tajemnemi —
A jednak polem boju była ziemia dla mnie!

W nagrodę, po walk życiu, po samotnych mękach —
Złożyłam lutnię śpiącą na niebiosów łonie —
I w niebie zapomniałam o więziennych jękach.

I wspomnienia złożyłam na martwym bardonie.
Komuż oddać ten bardon o natchnionych dźwiękach?
Komuż w ciernie opasać bohatyrskie skronie?...“

* * *

Tak kończyła swą pieśnią natchniona bogini,
Gdy nagle, jak ofiarę strasznego wyroku,
Niemowlę, co w téj chwili na ziemskiéj pustyni
Spłodzone — aniołowie przynoszą w obłoku.

„Dziecino! woła drżąca Poezji kapłanka —
Więc tobie dam tę lutnię krwią i łzą ciężarną!
Więc zamiast liljowego złotych marzeń wianka
Cierniem bolu otoczę twoją skroń ofiarną!

Przeznaczeniem poety — kapłaństwem pieśniarza
To nie snów pajęczyna ni tęsknot nić złota!...
Jak apostół stać musi u ofiar ołtarza —

On swéj piersi konaniem nowy świat odtwarza —
On swą lutnią więzienne wyłamuje wrota,
Gdy wszystkie struny pękną.. spełnił cel żywota!“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomość o „Vassar College“

pierwszéj akademji dla kobiét w północnéj Ameryce.

W miarę jak ślepa wiara i błahe przesądy z całą pleśnią odwiecznych nawyknień ustępują miejsca rezultatom wytrwałych prób i badań ludzkiego rozumu, kwestja emancypacji kobiet występuje w coraz to wyraźniejszych konturach na polu najżywotniejszych zadań społecznych, których rozwiązanie w niedalekiéj leży przyszłości. Przy dotychczasowéj metodzie wychowania i kształcenia, kobiéta postawiona w obec szczytnego swego powołania, w trudnym bardzo znajdowała się położeniu, pozbawiona samodzielności a często i samowiedzy, powodować się musiała obcą wolą lub bujać na skrzydłach wrodzonéj swéj wrażliwości tak jak puch buja po kołysanych wiatrem falach powietrza. Położenie jéj w wyjątkowych okolicznościach przy niezmiernie ograniczonym dotąd sposobie zarobkowania było nieznośne i wyradzało sytuacje, których ostatnim wyrazem był upadek. Wyzwolenie kobiety z takiego położenia przez podniesienie jéj umysłu i ducha i przygotowanie jéj tym sposobem do zajęcia niedostępnych dotąd stanowisk stało się nieodzowną potrzebą czasu, któréj starania ludzi dobréj woli coraz to większe dają zadośćuczynienie.

Kwestja kobieca w Europie znajduje się obecnie w pierwszéj dopiero fazie rozwoju, mimo to całe Niemcy i Norwegija znaczne już porobiły postępy. Coraz to więcéj tworzy się stowarzyszeń kobiet w celu ułatwienia sposobu zarobkowania, coraz to więcéj powstaje zakładów naukowych z nową zupełnie metodą uczenia i coraz to więcéj kobiet znajduje miejsca na poczcie, przy telegrafach, kolejach żelaznych, a nawet w kantorach domów handlowych i bankowych.

W miarę tego zmniejsza się naturalnie ilość nieszczęśliwych istot żyjących z łaski rodziny lub.... z niesławy.

Nierównie świetniéj stoi postęp usamowolnienia kobiét w Stanach Zjednoczonych północnéj Ameryki i z tamtąd téż wyjdzie niewątpliwie rozwiązanie pytania „czy zdolności naturalne kobiét są równe zdolnościom naturalnym mężczyzn i czy zatém należy dać obu płciom jednakowe warunki rozwoju tychże zdolności?“ Rozwiązanie tego kontrowersu będzie zarazem rozwiązaniem całéj kwestji kobiécy, lecz trzeba długich i bardziéj jeszcze starannych badań, aby stanowcze wyrzec słowo. Przedewszystkiem potrzeba takich zakładów naukowych dla kobiét, któreby stojąc w organizacji na równe z męzkiemi Uniwersytetami, umożebniły rywalizację. —

Pierwszy zakład tego rodzaju powstał przed kilku laty w północnéj Ameryce kosztem prywatnego człowieka, który idąc za przykładem swoich współobywateli, poświęcił znaczną część swego majątku zdobytego własną pracą na cele publicznego dobra. —

Człowiekiem tym był Matthew Vassar.

Uniwersytet żeński „Vassar College“ założony w 1865 r. — do opisu którego przystępujemy — leży w stanie New-York pod miastem Poughkeepsie w romantycznéj okolicy nad rzekę Hudson. — Zbudowany w stylu zamku Tuillerie pośród olbrzymiego parku, zakład ten długi na 500 stóp a wysoki na piętr cztery pomieścić może 500 studentek i 40 professorów, która to liczba w pierwszym zaraz roku wypełnioną została.

Rok szkolny zaczyna się 15go września, a kończy 1go lipca. Przyjmowane być mogą tylko panienki, które ukończyły przynajmniéj 15 wiosnę życia i zdały wstępny examin z następujących przedmiotów: 4 księgi Cezara, 4 mowy Cycerona, 6 ksiąg Wirgiliusza, cała łacińska grammatyka, wyższa algebra, retoryka i historja powszechna.

Prócz tego dla panien idących na wydział filologiczny obowiązkowe jest tłomaczenie Xenofonta „Anabasis“ i grammatyka grecka do składni. —

Dla niedostatecznie przygotowanych, mianowicie dla początkujących w językach starożytnych i matematyce istnieje szkoła przygotowawcza, do któréj zdaje się egzamin tylko z arytmetyki, geografji, angielskiéj grammatyki i historji, mianowicie historji Stanów Zjednoczonych. —

Po ukończeniu szkoły przygotowawczéj lub zdaniu wstępnego egzaminu każda studentka obiera sobie wydział nauk, których w Vassar-College jest dwa: klasyczno-filozoficzny i nauk przyrodzonych. Zupełny kurs nauk na każdym z tych dwóch wydziałów trwa lat cztery z następującym rozkładem:

Na wydziale filozoficznym:

1wszy Semestr: Liwiusz, ćwiczenia łacińskie, greckie i angielskie, składnia grecka, wyższa algebra.

2gi Semestr: Cicero „De Senectute“ i „De Amicitia,“ Homera Iljady 6 ksiąg, geometrja i ćwiczenie stylistyczne.

3ci Semestr: Sofoklesa „Ajax,“ Trygonometrja, Retoryka.

4ty Semestr: Horacego Ody i „De arte poetica“ Eschylusa „Agamemnon,“ Botanika, Zoologja, ćwiczenia etymologiczne angielskie i stylistyka grecka.

5ty Semestr: Tacyta „Germanja“ i „Agricola,“ grammatyka francuzka, Fizyka, Geologja, Geografja fizyczna, Loika, Ekonomja polityczna, Historja języka angielskiego.

6ty Semestr: Moljera „Tartufe,“ Rasyna „Atalja,“ Platona „Phedra,“ Geometrja analityczna, Fizyka, Historja Literatury angielskiéj.

7my Semestr: Metafizyka, Anatomja, Chemja, Astronomja, Grammatyka niemiecka i włoska, Cycerona „Tuskulany.“

8my Semestr: Filozofja moralna, Fizjologja, Astronomja, Goethe, Dante i Greccy Lirycy.

Na wydziale nauk przyrodzonych i języków nowożytnych.

1wszy Semestr: Liwiusz, ćwiczenia łacińskie i angielskie, Grammatyka francuzka, Scribe i Racine, Algebra.

2gi Semestr: Cicero, ćwiczenia łacińskie, Geometrja, Botanika z exkursjami, Racine i Souvestre, francuzka Lexykologia, angielska Stylistyka.

3ci Semestr: Francuzka Składnia z ćwiczeniami, Corneille, Trygonometrja, Geologja i Mineralogja z doświadczeniami w Laboratorium i wycieczkami.

4ty Semestr: Grammatyka niemiecka, Francuzka lexykologia, Molière i Töpfer, Geometria analityczna, Zoologia z doświadczeniami i wycieczkami, Angielska Etymologia.

5ty Semestr: Niemiecka literatura, Szyllera „Wilhelm Tell“ Francuzka stylistyka i literatura, Fizyka, Geografja fizyczna, Astronomja, Historja języka angielskiego.

6ty Semestr: Niemiecka literatura, Szyllera „Wallenstein“ Etymologja i Synonyma, francuzka i angielska historja literatury, Astronomja i Fizyka.

7my Semestr: Metafizyka, Anatomja, Chemja Astronomja sferyczna, Goethego „Torquato Tasso“ Grammatyka włoska, Loika i Ekonomja polityczna.

8my Semestr: Filozofja moralna, Fizjologja, Astronomja, Powtórzenie historji literatury niemieckiéj, francuzkiéj i włoskiéj. —

Z tego rozkładu nauk widzimy, że pensjonarki Vassar-College kształcą się w kierunku klassycznym i realnym, połączenie tych dwóch metod, o wartość których spierają się dotąd jeszcze najznakomitsi Pedagodzy, wyrabia zarówno ducha uczennic jak i ich pogląd na życie praktyczne.

Po ukończeniu 4 letniego kursu nauk, których praktyczny podział aż nadto jest widoczny, poddają się uczennice egzaminowi i dostają w miarę swych zdolności dyploma Bakalaureackie 1go i 2go stopnia.

Na czele zakładu stoi Dyrektor i Dama przewodnicząca zakładowi (Lady principal). Personał nauczycielski składa się z 26 kobiét i 8 mężczyzn. Prócz tego funkcjonuje 1na Dama jako lekarz zakładu i professor hygieny, 4 Damy jako nauczycielki gimnastyki, 1 nauczyciel jazdy konnéj, 8 Nauczycielek muzyki i śpiewu, które to przedmiota są bardzo starannie pielęgnowane niemniéj jak malarstwo i rysunki. Do środków pomocniczych zakładu należą: Laboratorja fizyczne i chemiczne, obserwatorjum astronomiczne, galerja obrazów składająca się z 500 dzieł sztuki malarskiéj, zbiór kupfersztychów, litografji i rysunków zawierający 1000 numerów, bibljoteka składająca się z 7000 tomów i czytelnia z całemi secinami gazet, pism perjodycznych, literackich i illustrowanych i broszur. Prócz tego muzea historji naturalnéj są bogato zaopatrzone, a teleskop w obserwatorjum jest drugi w Ameryce pod względem wielkości.

Osobny budynek „Kalisthenium“ mieści w sobie sale koncertowe, ujeżdzalnią i gimnastykę, którą wszystkie uczennice obowiązkowo uprawiać muszą. Niedaleko od Kalisthenium w malowniczym położeniu leży okolone drzewami jezioro, na którym panny jeżdżą latem łodziami a w zimie na łyżwach. Trudno też którejkolwiek z nich po wyjściu z zakładu zarzucić cokolwiek pod względem umysłowym, fizycznym i sanitarnym. Każda też z nich wmięszana w naukowe spory, rozprawia jak professor uniwersytetu, co jéj bynajmniéj nie przyszkadza biedz każdéj chwili ratować tonących i chorych, iść o lepsze z wybornym kuchmistrzem lub oficerem kawalerji. Jedyną ozdobą Kalisthenium jest posąg Wenery Meluzyńskiéj, — panna która lat 4 ćwiczyła ducha i ciało w Akademji Vassara rywalizować z nią może pod względem kibici i wdzięków; tak zapewniała mię pewna Amerykanka, która zakład zwiedzała osobiście. —

Szczęśliwa Ameryka! Smutno pomyśleć, że są kraje, w których dla takich kobiét trudno byłoby znaleść odpowiednich mężów. —

Porządek dzienny zakładu jest ściśle przepisany, a Lady principal przestrzega go surowo. Porządek ten jest następujący: o godzinie 6téj rano panny wstają, o 6téj minut 45 modlitwa poranna, o 7méj śniadanie, o 7méj minut 30 sprzątanie pokoi, o 7méj minut 40 czas do przygotowania się na wykłady, od 9téj do 12téj minut 40 wykłady ranne, o 1wszéj godzinie obiad, od 2éj do 2éj minut 40 czas wolny, od 2éj minut 45 do 5téj minut 45 wykłady poobiednie, o 6éj wieczerza, potém modlitwy wieczorne i przygotowanie się na lekcje do 9téj o 9téj minut 40 iść do łóżka, o 10téj wszystkie światła muszą być pogaszone.

Taki regulamin obowięzuje w pierwszych 5 dniach tygodnia. Sobota poświęconą jest rozrywkom, niedziela zaś nabożeństwu i nauce pisma świętego.

Charakter zakładu jest ściśle chrześcijański i msza w każdą niedzielę.

Założyciel Akademji oprócz 500,000 dolarów wydawanych na ufundowanie i wielu innych summ przeznaczonych na specjalne cele, przeznaczył jeszcze kapitał 50,000 dolarów na sprowadzanie znakomitych prelegentów do przedsiębrania odczytów czasowych w rozmaitych działach nauki. Nadto panny same poformowały konwersatoryczne kluby jak np. towarzystwo imienia pani de Sévigné zajmujące się specjalnie literaturą francuzką, jak daléj College family, w którym oddają się studjom nad Shakespearem; jest téż klub niemiecki z dewizą Goethego „Licht mehr Licht,“ klub botaniczny i t. d.

Praca i dążność do coraz lepszego doskonalenia się jest niejako duchem zakładu. Uczennice przychodzą do akademji z silną wolą nauczenia się czegoś pożytecznego, jeżeli zaś któréj brakuje téj woli, to nabiera jéj z przykładu.

Obok jednak tego zapału i powagi młodość zachowuje swoje prawa, a panny podobnie jak ich koledzy na Uniwersytetach męzkich lubią płatać figle. Znamy kilka dowcipnych i wesołych wypadków z życia studenckiego panien w Vassar College; artykuł nasz jednak zbyt obszernym być nie może, pomijamy je zatem.

Co dotyczy strony ekonomicznéj, to dodajemy, że Vassar College nie jest żadną money making institution, lecz prywatnym bogato wyposażonym zakładem. Dla tego téż pobyt w nim nie jest drogi a życie bardzo wygodne.

Za pomieszczenie, stół i naukę płaci się rocznie 400 dolarów, osobno honoruje się tylko lekcje muzyki, malarstwa i konnéj jazdy. Na śniadanie dostają panny beefsteaks, kotlety lub ryby, do tego jaja, pieczywo, herbatę lub kawę i mleko; na obiad zupę z mięsa, pieczyste z jarzynami i pudding lub lody. Te ostatnie (ice-cream) są ulubioną potrawą Amerykanek; dostają téż po pół kwarty na osobę. Wieczorem do herbaty dają czasem mięso na zimno, zwykle zaś owoce, ciasta, pieczywo i masło.

Ubiór własny podług upodobania lecz skromny pod względem materjału i formy. Mundur przepisany jest tylko do gimnastyki i konnéj jazdy; składa się on z popielatéj wełnianéj bluzy i czerwonéj szarfy. Mieszkanie dzieli zwykle 4 do 6 panien, na te 4 do 6 osób jest jeden salonik i 2 do 3 sypialni, wygoda zatém zupełna, wszystkie pokoje są wysłane dywanami. Meble wystarczające daje zakład, lecz kwiaty, obrazy i fotele koleśne (Rocking chair) bez których młoda Amerykanka obejść się niemoże, winny być sprawione własnym kosztem. Guwernantki mają mieszkanie na tych samych korytarzach jak również professorowie, którzy muszą być żonaci. Na każdym korytarzu jest 4 łazienki gotowe do użycia każdéj chwili dnia i nocy. Przepisem objęty

jest obowiązek kąpania się 2 razy na tydzień. We wszystkich pokojach i korytarzach urządzone są wentylatory tak, że świeże, balsamiczne powietrze płynące z obok leżących gór Catskill i Tistkill Mountains ma nieustanny przystęp do wnętrza olbrzymiego gmachu. Stan zdrowia jego mieszkańców jest świetny.

Na tych detalach kończymy wiadomość o Vassar College, którą dzielimy się z serca z naszemi czytelniczkami i wszystkimi przyjaciołmi rozumnie a zdrowo pojętéj emancypacji kobiét. Czas jest aby ważna ta kwestja zajęła nasze społeczeństwo i uszczęśliwiła naszą rodzinę. Czas aby rozhukaną lwicę stołecznych miast przestano nazywać emancypowaną kobietą i czas najwyższy dla pustogłowych rycerzy salonu pomyśleć, że aby zrozumieć i uszczęśliwić emancypowaną kobiétę trzeba być czemś więcéj jak złotym młodzieńcem...

Kraków 30 maja 1871. **Dr. W. M. Olendzki.**

Kronika tygodniowa.

Przepowiednia kronikarska widocznie się spełnia, — coraz to nowe, znane nazwisko obija się o słuch Poznańczyka, gdy spyta co słychać nowego; ów przyjeżdża; tamten przyjedzie, prawią zapytani; i każdy też przyznać musi, że od lat kilku częściéj widujemy w naszém miasteczku ludzi znanych, rozgłośnych. — Obecnie bawi tu p. Kostrzewski, nasz polski Doré, jak go niezbyt trafnie Warszawiacy tytułują, bo między nim a znanym na całą Europę illustratorem Danta jedno jedynę chyba zachodzi podobieństwo — popularność, z tą jeszcze różnicą, że areną Fr. Kostrzewskiego jest kraj własny wyłącznie. Umie bo téż przemawiać do serc tego kraju mieszkańców, obrazki jego olejne, te scenki z życia wieśniaka lub zagrodowego szlachcica, jakie żywcem odkradzione naturze zawierają typy — Główną jednak sławę jego stanowią owe powiedziałbym schwytane na gorącym uczynku szkice, których pełno rozbiega się po kraju za pomocą pism illustrowanych, jednym wywołując wesoły, serdeczny śmiech na usta, innym, głębiéj patrzącym, odsłaniając ukryty sarkazm artysty — złagodzony przecież tém serdeczném ciepłem uczucia, które mogłoby pożyczyć sobie słów wielkiego Juljusza:

......biorę za dewizę:
Jeżeli gryzę co, to sercem gryzę.

Jedyną téż pociechą artysty u nas jest ta odrobina dobrego u swoich imienia; w kraju naszym zawód artysty, malarza — nie jest bynajmniéj złoconym i trzeba bardzo ukochać i sztukę i naród, aby nie wrócić wpół drogi, aby zostać wiernym raz założonemu celowi. Te słów kilka wywołał u mnie list przyjaciela, malarza, który rzucając kraj, w kilku wyrazach jasno, bez złudzeń nakreślił mi obraz tego życia; nie mogę się wstrzymać, aby choć ustęp z tego listu tu nie przytoczyć; jest to wprawdzie list prywatny, ale wychodzę z zasady, że prawda jest własnością ogółu, — a w liście mego przyjaciela leży prawda. — „Artysta", pisze on, „potrzebuje tworzyć, myśli poczęte w ciało zamieniać, to jest ciągle tworzyć i te kompozycje wykonywać pędzlem, piórem, ołówkiem lub czémkolwiek inném; a któż tę pracę moją kupi w Polsce, kiedy u nas ledwo cząstka, za pomocą stowarzyszeń dla rozpowszechnienia sztuki, utworów rozchodzi się pośród naszego społeczeństwa! Zmuszeni więc jesteśmy większą część czasu poświęcać dla zarobku, dla dogodzenia zachceniom często najdziwaczniejszym; trzeba malować portret, obraz jakiego świętego, jakąś winjetę do książki lub co innego wtedy, gdy na sztaludze stoi rozpięty obraz, co wypłynął nam z duszy, jakaś scena z naszéj przeszłości, w któréj się pragnie uchwycić i wyrazić ducha narodu, typy, charaktery z historji zaczerpnięte, jedném słowem to, o czém się marzy we śnie i na jawie! Nareszcie wśród ciągłych przerw dla troski o życie powszednie, kończy artysta swoje wypieszczone dzieło, zadłuży się często nawet, aby pracy dokonać, daje go na wystawę w Polsce, bo go dla swego narodu przeznaczył, wymalował, a za to cóż go spotyka? Najprzód pierwszy lepszy co pióro gryzie, jeśli go nie przepłaci, obrzuci błotem w pismach perjodycznych jego dzieło, a skoro go kupi, to znów chwali bez granic. Nikt się nie spyta, obraz pozostaje niesprzedanym, aż po kilku latach ktoś z przyjaciół szturmuje do możnych, łechce próżność ich i ci za pół darmo kupują wreszcie obraz, pełni pychy, że protegują sztukę narodową i jak jałmużnę rzucają tę trochę grosza, aby artysta mógł daléj wegetować. Jedyną jeszcze pociechą, jeźli publiczność nie idzie na ślepo za głosem krytyków, lecz z własnego instynktu uznaniem nagradza artystę...

Zupełnie inne życie jest za granicą. Tam wśród grona licznego artystów postępuje się w sztuce, amatorów dużo nabywających utwory talentu, nie wyzyskując położenia artysty. Recenzje piszą ludzie z znajomością traktowanego przedmiotu, z których się człowiek uczy. Płód prawdziwéj sztuki wysoko bywa ceniony, w lot rozkupowany, i to nie z pół daremną zapłatą. A w końcu jeśli zjawi się w kraju coś z robót artysty mającego rozgłos wśród obcych i pokup, to inném na to okiem spoglądają rodacy i inaczéj cenią.

Powodzenie ciągle za granicą bawiących artystów stanie za najwięcéj przekonywający przykład.

Dodajcie do tego tę okoliczność, że tam aby coś zarobić, nie trzeba dogadzać woli, lecz iść za swojém natchnieniem; a u nas, aby pieniędzy dostać, przychodzi się zrzekać własnych myśli, czyniąc jedynie to, co zamawiającemu się zachce. Sprawa zaś narodowa nic na tém nie traci, jeśli artyści rodacy wśród obcych sławy i majątku szukają, dopóki nie znajdą pola dla siebie w granicach swego kraju...

Wszakże największa liczba utworów najlepszych polskich artystów jest w rękach obcych. Z arcydzieł Grottgera jedną tylko Lituanię posiada polskie Towarzystwo Sztuk Pięknych w Krakowie, zresztą wszystko u Węgrów, Niemców i Anglików...."

Niejeden może powie, że przyjaciel mój zbyt ostro nas oskarza o obojętność, inny może przyzna mu słuszność, lecz powie, że kraj na to aby wspierał sztuki, musi koniecznie być bogatym, a u nas powszechne na biedę słyszeć można skargi, że dobrobyt jest tu „conditio sine qua non." Twierdzenie to będzie miało za sobą cały pozór prawdy a przecież nie jest ono prawdziwém. — Dobrobyt jest tu rzeczą nieodbicie potrzebną wprawdzie, ale główném jest, niewiem, wrodzona czy ukształcona potrzeba piękna, to gorące prawdziwe zamiłowanie do sztuki, do wszelkiego wreszcie piękna lub światła. Prawda, że nie każdy może nabyć obraz, ale każdy niemal może nabyć pożyteczną książkę, a przecież jakże mało z tych co mogą, nabywają ją dla siebie; śmiało tu powiedzieć można, że ledwie jeden na tysiące. Twierdzenie to, które pozornie zdaje się pustym frazesem, jedném, z tysiącznie powtarzanych utyskiwań, poprzéć wam mogę faktami, — cyframi — a cyfry w naszym wieku to nielada potęga.

Znaną jest bibljoteka niezmordowanego dla oświaty kraju pracownika Karola Forstera; — złożona z 20 tomów, kosztowała ona pierwotnie 25 tal., wreszcie zniżono tę cenę na 10 tal., co jednak widocznie nie wiele

wpłynęło na jéj rozpowszechnienie, bo autor w roku bieżącym udał się do Tow. Gospodarskiego w Galicji, ofiarując swą bibljotekę za cenę niemal bajeczną, jak na nasze wydawnictwa, 6 tal. czyli 12 złr., z warunkiem, że Towarzystwo nabędzie dla swych oddziałów 30 egzemplarzy. Towarzystwo Lwowskie dnia 18 marca rozpisało okólnik, w skutek którego dotąd zgłosił się jeden oddział, Husiatyński! Oto jest poparcie, dane rozwojowi oświaty: 20 dzieł uznanych przez Radę Szkolną i Tow. Pedagogiczne jako użyteczne, za tak niewielką cenę, znalazło jednego nabywcę na użytek publiczny! Otóż macie cyfry!

Że kwestja oświaty jest dziś dla przyszłych losów Polski najważniejszą, o tém prawie każdy u nas jest przekonany, i chętnie to nawet potwierdzi, byle tylko dla téj kwestji żadnéj nie potrzebował przynosić ofiary, choćby nawet najlichszéj. Na wszystko są u nas pieniądze, tylko nie na książki. Przegrywa się w karty w jednéj chwili sta i tysiące, wyrzuca się grosz znaczny na wino, na tancerki, na podróże, na zbytki, ale kiedy rzecz chodzi o kupienie książki, wówczas się kieszeń kurczy, skargi na ciężkie czasy powstają i kwestja oświaty przedstawia się zaraz jako przedmiot obojętny, nudny a nawet niekoniecznie potrzebny, lub niewczesny. Kwestja ta jest dziwnie kolczasną!

Nie brak u nas na to przykładów. W Krakowskiém istniało przez lat kilka Tow. Przyjaciół Oświaty Ludowéj, złożone zrazu z kilku set członków (podobno 600), między którymi byli najpierwsi magnaci. Po kilku latach życia, Towarzystwo to upadło, a wielkim onego rezultatem było, iż rozdano bezpłatnie ludowi około 5,000 arkuszy druku. Olbrzymie usiłowanie!!! podziwienia godne!

Posądzicie mnie może o czarną melancholję, o amerykańskie okulary, przez które świat mi jest ciemnym, nazwiecie tetrykiem, może starym kawalerem, co robić: ukochałem prawdę i dla niéj gotów jestem przyjąć na siebie gorsze jeszcze zarzuty. *W*

Korespondencja ze Lwowa.

Lwów 3 czerwca 1871.

U nas święta; prawdziwie świąteczna pora dla wszystkich umysłów, którym zależy na tém, aby wśród prozy powszedniego życia zostać na chwil kilka uczestnikami wspaniałéj uczty Muz. Są to prawdziwe święta bóstwa Sztuki, tak jak Dyonizje, w których cała publiczność ateńska z gorączkowém zajęciem przypatrywała się przedstawieniom wzniosłéj greckiéj tragedji; należy jednak uwzględnić okoliczność, że prozaiczną publiczność lwowską XIXgo wieku trudno porównać z klasycznymi Ateńczykami Peryklesowéj epoki.

Pani Modrzejewska w środę, dnia 23 pm. wystąpiła po raz pierwszy w tytułowéj roli w Adrjannie Lecouvreur. Wprawdzie krytyka zależy na naznaczeniu we wszystkiém stron dodatnich i ujemnych, ale do drugiego zadania potrzebowałaby w ocenieniu gry pani Modrzejewskiéj zbyt ostrego skalpelu; — zresztą chodzi mi przecież o to, aby wam podać charakterystyczne znamiona ruchu umysłowego w naszém mieście, a te drobne miejsca, w których możeby kto nie chciał ze wszystkiém zgodzić się z artystką co do pojęcia roli, nikną zupełnie wobec wspaniałego, zdumiewającego wrażenia, jakie sprawia całość. Jako najświetniejsze momenta gry pani Modrzejewskiéj w téj roli wypada mi zapisać przedewszystkiém w 2 akcie deklamację „Dwóch gołąbków“ Lafontena. Rzeczywiście cały teatr mógł zawtórować Maurycemu de Saxe, że taka deklamacja prawdziwie uszlachetnia uczucie, że tych wierszy parę, które, ujęte w martwe czcionki, są „tylko bajką,“ stają się skromnym lecz prawdziwie pięknym utworem dopiero w ustach pani Modrzejewskiéj. Jeśliby pessymista „odnosił wrażenie, jakie zazwyczaj gra téj artystki wywiera, głównie do patetycznych tonów, które z takim artyzmem w grze swéj umie wydobywać, musi broń złożyć wobec deklamacji „dwóch gołąbków,“ widzi się zwyciężonym znakomicie cieniowaną miękkością tonów, niezrównaną słodyczą, bez żadnéj przymieszki efektownego patosu. — W 4tym akcie Adrjanna w salonie księstwa de Bouillon na wezwanie księżny deklamuje ustęp z Fedry; przechód stopniowy z deklamacji aktorki do wybuchu indywidualnych uczuć, wstawionych w słowa Rasyna wypadł świetnie w całém słowa tego znaczeniu. — Punktém kulminacyjnym gry w Adrjannie był niezaprzeczenie 5ty akt, a mianowicie dwie tego różne połowy, w pierwszéj rozpacz walcząca z rezygnacją, — w drugiéj rodzaj obłąkania wywołanego trucizną. Wrażenie było tak zdumiewające, że umysł nie zdoła się w niém rozpatrzyć i zimno sobie z niego zdać sprawy.

Drugi występ był w piątek 26go w roli Żylberty (Fru-Fru.) W 1ym akcie dziwnym wydał nam się widok pani Modrzejewskiéj, jako młodego trzpiotowatego dziewczęcia; przyzwyczailiśmy się widzieć ją we właściwych jéj talentowi rolach bohaterki. Również i 2gi akt nie był polem popisu dla jéj talentu. Mimo to, swoboda ruchów, niezrównany wdzięk, właściwy téj artystce, cechowały jéj grę i w tych dwóch pierwszych aktach; w ogóle robiło to takie wrażenie, jakby znakomity malarz historyczny zajął się lekkim, rodzajowym obrazkiem. W 3cim i 4ym akcie staje się rola owéj trzpiotowatéj pierwotnie Fru-Fru prawdziwie tragiczną. Jak słusznie zauważał recenzent Gazety Narodowéj, szczególne uznanie należy się tu pani Modrzejewskiéj, że przechód między tymi dwoma odrębnymi działami, z jakich się rola Żylberty składa, nie był bynajmniéj rażącym. Żylberta była zawsze tą samą postacią; w pierwszych dwóch aktach ukazała się taką, jaką była z natury, w 3, 4 i 5 akcie okoliczności zrobiły z niéj tragiczną bohaterkę Zdaniem mojém, podnieść należy w 4 akcie ów niepokój sumienia żony, która porzuciła męża; artystka uwydatniła tu główny charakter swéj roli. Gra jéj pojednywała widza z dobrą w gruncie serca, nieszczęsną kobietą, któréj całą winą była tylko lekkość i trzpiotowatość, ułomności na pozór nieznaczne, które jednak wtrąciły Żylbertę w przepaść moralnego upadku. Efektowna scena końcowa 5 aktu (śmierć Żylberty w domu opuszczonego przez nią męża) wywołała głębokie wzruszenie: nietylko płeć piękna, ale i wiele mężczyzn wstrzymać się od łez nie mogło. Żałowaliśmy tylko, iż znakomity talent artystki służył tu do uświetnienia niedość naturalnéj a na efekt wyrachowanéj sceny dramatu z fabryki pp. Meilhac et Halevy.

W niedzielę 28 p. m. obdarzyła nas pani Modrzejewska w dzień Świąt Zielonych „Ofelią.“ Cała publiczność z niecierpliwością oczekiwała scen, w których miała wystąpić ulubiona artystka, — a kilka tych scen zaledwie nagrodziło sowicie tę niecierpliwość spotęgowaną znużeniem, jakie sprawiała całość przedstawienia: mimo wszelkich bowiem usiłowań reszty artystów, całość ta z braku sił dostatecznych nie mogła wypaść należycie, zwłaszcza, że odbijała od téj świetnéj siły artyzmu, z jaką była oddana czwartorzędna w tragedji rola Ofelii. Co do pojęcia téj roli tak nieznacznéj na pozór, a tak wdzięcznéj, główną trudność upatrywałbym w tém, iż artystka, reflektując na tragiczny koniec Ofelii i rodzierającą scenę obłąkania, mogłaby się dać uwieść i poprzednio nadać kreacji swéj piętno bohaterki tra-

gicznéj, z góry już do nadzwyczajnych a srogich kolei losu przeznaczonéj. Pani Modrzejewska nadto posiada poczucia artystycznego, aby nie miała zrozumieć Ofelii tak jak ją Szekspir pojmował. Ofelja pani Modrzejewskiéj, była to młoda, niedoświadczona, całą pełnią dziewiczego serca rozkochana dziewczyna; srogie przeciwieństwa i ciosy dopiero ją w obłąkanie wprawiają i czynią z niéj postać tragiczną. W 1 akcie w głosie i mimice znakomicie wycieniowane było niedowierzanie, z jakiém Ofelia słucha przestróg ojca i brata. Wszelkie wątpliwości i podejrzenia, w przestrogach tych wysuwane, nikły w obec potęgi miłości, która już była serce jéj opanowała. W 3 akcie gra pani Modrzejewskiéj miała już zakrój nieco tragiczny; biedna dziewica nie może pojąć dziwacznego zachowania się kochanka, który jeszcze niedawno tyle uczucia jéj okazywał; scena obłąkania sprawiła olbrzymie wrażenie; łagodność i słodycz, cecha charakterystyczna téj roli, uwydatniły się i w obec pomięszania umysłu; nieszczęście niewinnéj, srogiemi zewnętrznemi okolicznościami prześladowanéj dziewicy wywołało ogólne współczucie i głębokie wzruszenie. Dopiero kiedy Ofelia znikła ze sceny, gra innych aktorów przypomniała publiczności, że się w teatrze znajduje; jakoż zdumiewające wrażenie objawiło się przeciągłym grzmotem oklasków, niewłaściwym poniekąd po takiéj scenie.

* * *

Na dochód sierót po ofiarach powstania urządzono 4 wykłady publiczne. Pierwszy wykład miał Dr. med. Dobieszewski: o samobójstwie. Największą wartość wykładu stanowiły daty statystyczne ciekawie zestawione, — prelegent dołączył nadto pobieżny rys historyczny samobójstwa i kilka przelotnych uwag psychologicznych. Drugi i czwarty wykład był treści biograficznéj: panna Felicja Wasilewska (właścicielka zakładu wychowawczego) czytała biografię Klementyny z Tańskich Hofmanowéj (drukowaną w odcinku Gaz. Nar.) a p. Alexander Morawski, zapowiedziawszy wykład „o trzech typach historycznych kobiecych,“ odczytał króciuchne zapiski biograficzne o dwóch kobietach z rewolucji francuskiéj, (Karolina Corday i Marja Roland, typy odwagi bohaterskiéj i cywilnéj) w końcu dołączył słów kilka o naszéj Chrzanowskiéj. — Najstosowniejszym i pod względem przedmiotu i obrobienia był wykład p. Tadeusza Romanowicza: „o zasadach ekonomji w obec zasad etyki.“ (drukowany w odcinku Dzien. Pol.) Język treściwy i popularny, wykład zaostrzający uwagę i treść pouczająca, zalecały go szczególniéj. Prelegent wykazał, jak błędném jest mniemanie, iż ekonomia polityczna nie może iść ręka w rękę z zasadami etyki. Jakkolwiek bowiem podwaliną ekonomji jest egoistyczny pierwiastek w człowieku, to właśnie on, dla zaspokojenia potrzeby, wywołuje pracę bądź umysłową, bądź fizyczną, która jest jedną z pierwszych podstaw moralności. Koniec wykładu poświęcony był szczególnie naszym stosunkom; wykazał w nim prelegent wymownie, iż zastosowanie zdrowych zasad ekonomji w każdym kierunku naszego społecznego życia jest obowiązkiem narodowym.

* * *

Z wiadomości literackich należy zdać sprawę o nowém lwowskiém czasopiśmie, Gazecie Literackiéj, redagowanéj przez pp. Śliwińskiego i Wisłockiego. Pierwszy jéj numer ukazał się 27 bm. niedługo po urodzinach „Woli,“ o któréj mieliście już poprzednio wiadomość, (Nr. 19). O ile wnosić można z 1 numeru, „Gaz. Lit.“ wzięła sobie za zadanie przedstawienie sumienne ruchu umysłowego; artykuły opracowane są sumiennie i należycie. Numer pierwszy zawiera: W górę czoła, wiersz. Z wystawy obrazów. — Tajemnice pałacu carów, powieść (niestety tłomaczona). — Listy Nie-Juniusza I. o oświacie ludu. — Zapiski teatralne. — Sprawy stowarzyszeń. Wiadomości literackie w pierwszym numerze są bardzo szczupłe, a dział krytyki zgoła nie reprezentowany. Również zwróciłbym uwagę, że jeśli odgadliśmy kierunek czasopisma, jeśli rzeczywiście głównie ruchem umysłowym ma się zajmować, to powieść, zajmująca stosunkowo znaczną część numeru, nie jest potrzebną; jeśli się zaś znalazło miejsce na powieść, nie powinno go zabraknąć na artykuł popularno naukowy. „Gaz. Lit.“ wychodzi 3 razy na miesiąc (w 2 małych arkuszykach) i kosztuje nadzwyczaj tanio: 90 centów ½ talara miesięcznie.

O wystawie obrazów dokończę innym razem, gdy ostatecznie będzie dopełnioną. **S. A. S.**

Jeszcze słów kilka o doktorze Raciborskim*).

Nieszczęsna dla Francji ostatnia wojna, któréj skutki fatalne olbrzymich rozmiarów, jakich w dziejach narodów nie znajdzie przykładu, sprowadziła na Francję w ogóle, a na Paryż w szczególności niepojęte klęski i cierpienia. Dwumiljonowa stolica Francji swą świetnością, bogactwem, wesołością, dobrobytem i mniemaną potęgą długo wprawiała w zdumienie świat cały, kiedy nagle skazana może przez Opatrzność na dotkliwe próby, przeszła i przechodzi jeszcze dotąd najstraszniejsze katusze oblężenia, krwawych potyczek, głodu, wojny domowéj, chorób, spustoszenia i zaguby. W téj otchłani siedmiu plag boskich, która pochłonęła tysiące ludzkich stworzeń, Polacy mieszkający w Paryżu okrutnie doświadczeni zostali. Emigracja z 1831 r., która wydała tylu znakomitych ludzi, jakby płomień najżywszy buchający z łona ojczyzny siłą narodowego ducha i genjuszu, stanęła już obecnie u ostatniego kresu działania życiu ludzkiemu naznaczonego. Co rok, a mianowicie podczas ostatniego oblężenia Paryża, Polacy w licznym zastępie, zwłaszcza z owéj świetnéj epoki, co od lat 40 siłą ducha, wytrwałości, poświęcenia, pracy i zdolności zdumiewali Francję tak trudną do uznania zasług innych narodowości, zstąpili do grobu. Jednym z tych świeczników na polu zasługi, przynoszących zaszczyt i chlubę imieniowi polskiemu wśród obcych, był bez zaprzeczenia doktor Adam Raciborski. Znakomity ten lekarz padł ofiarą poświęcenia dla ludzkości i obowiązków zawodu lekarskiego. Od lat kilku zapadając coraz mocniéj na zdrowiu, nie chciał usłuchać głosu rodziny i najbliższych sobie osób, zachęcających go do opuszczenia Paryża przed oblężeniem, przełożył dopełnienie obowiązku lekarza wśród cierpień nad swobodne życie po za obrębem teatru wojny, do czego jego pochodzenie jako cudzoziemca upoważniało go nawet poniekąd. Walczył więc w swym zawodzie podczas oblężenia Paryża odważnie i z energją, wśród niezliczonych trosk, dolegliwości i trudów, aż nareszcie padł ostatni na wyłomie.

Uczeń warszawskiéj akademji medycznéj otrzymał w 1829 r., w młodym jeszcze bardzo wieku, wielki medal złoty za wyszczególniające go prace anatomiczne; wkrótce późniéj odbył pamiętną kampanję w 1831 r. jako lekarz pułkowy i otrzymał oficerski krzyż złoty Virtuti militari. Zmuszony opuścić ojczyznę udał się do Francji, słuchał na nowo kursów w fakultecie medycznym w Paryżu i otrzymał w 1834 r. dyplom

*) Obacz w num. 15 Tyg. Wielkopolskiego.

lekarski. W tym samym roku zaszczycony został nagrodą ustanowioną przez słynnego lekarza Corvisart. Następnie poświęcił się praktyce lekarskiéj w Paryżu, gdzie przez długie lata miał bardzo świetne powodzenie tak we Francji, jak i w odległych nawet krajach. Doktor Raciborski przyjął w 1838 r. zaszczytny stopień i sprawował obowiązki naczelnika kliniki fakultetu medycznego w Paryżu w szpitalu de la Charité, a w 1857 roku otrzymał krzyż legji honorowéj. Kilkakrotnie wieńczony nagrodami przez paryzką akademję medyczną i przez Instytut francuzki, doktor Raciborski zostawił znakomite dzieła w języku francuzkim, które przełożone zostały na inne języki i ściągnęły na niego uwagę lekarzy w całéj prawie Europie, a mianowicie: Nouveau Manuel complet d'auscultation et de percussion (1835); Précis pratique et raisonné du diagnostic dans les maladies (1837); De la puberté et de l'âge critique chez la femme (1844); prócz licznych artykułów i dyssertacji medycznych w dziennikach lekarskich, jako téż broszurek specjalnie o słabościach kobiécych traktujących. Już w podeszłym wieku pracował jednak niezmordowanie, w 1868 r. wydał obszerne, ciekawe i znakomite dzieło pod tytułem: Menstruation, ovulation, fécondation etc., któremu Akademja Umiejętności w Paryżu (Académie des Sciences) na posiedzeniu swém w czerwcu 1869 r. przyznała znaczną nagrodę pieniężną.

Takie są na polu naukowém zasługi zgasłego męża. We wszystkich swych dziełach jak również w długoletniéj praktyce znakomity ten lekarz odznaczał się nietylko wielką jasnością poglądu, wykładu i metody, ale, w czém nieliczni lekarze dorównać mu zdołali, to w szczególnéj bystrości badań, spostrzeżeń i pojmowania. Przymioty te obok nieustannéj pracy w medycynie wyniosły go na parnas nauki. Pomimo te wszystkie wszakże zalety doktor Raciborski nie mógł zająć nigdy pierwszorzędnego urzędowego stanowiska w zawodzie lekarskim we Francji. Główną ku temu przeszkodą było jego głębokie poczucie własnéj godności przekładającéj niezawisłość charakteru nad zaloty i umizgi urzędowego świata, drugą niemniéj ważną, jego pochodzenie cudzoziemskie. We Francji, cudzoziemiec w ogóle, a Polak w szczególności, noszący rodzime polskie nazwisko, nigdy nie wzniesie się do pierwszorzędnego stanowiska w jakimkolwiek zawodzie. Ś. p. doktor Raciborski lubił opowiadać, iż słynny P. Kazimierski, tłomacz Koranu na francuzki język, mówiący wszystkimi znakomitszymi wschodnimi językami, bardzo wysoko był ceniony przez marszałka Soulta, ministra spraw zagranicznych przez czas niejaki za Ludwika Filipa. Kiedy chodziło o zanominowanie go konsulem na Wschodzie, na którą to posadę drogą urzędową w ministerjum, gdzie od lat kilku sprawował obowiązki, był przedstawiony, marszałek poprosił go do swego gabinetu i rzekł: „Nous connaissons vos aptitudes et vos mérites, mais que voulez vous, mon cher, changez votre nom pour que nous puissions vous envoyer à un poste tout de confiance.“ Taki tu jest we Francji zwyczaj względem cudzoziemców, który my Polacy w kraju naszym bodajbyśmy się raz nauczyli ściśle zachowywać.

Ale wracam do znakomitego lekarza, którego zgon przedwczesny boleśnie tu nas wszystkich dotknął.

Obdarzony bystrością i nadzwyczajną trafnością umysłu, żywy i usposobienia wesołego, z charakterem szczérym i prawym, uczciwy jako człowiek, sumienny jako lekarz, potrafił on sobie zjednać w Paryżu liczne i świetne stosunki, jak również szacunek ogólny i przywiązanie. Któż z rodaków mieszkających w Paryżu albo przejeżdżających przez tę stolicę nie znał Dr. Raciborskiego zawsze uprzejmego i gotowego nieść pomoc i radę sumienną, trafną i bezinteresowną. Kto poznawszy go bliżéj nie czuł się pociągnionym do niego najżywszém uczuciem szacunku, wdzięczności i sympatji? W kilka dni po nieszczęsnéj kapitulacji Paryża 14 lutego 1871 r. w 60 roku swego życia zgasł ten użyteczny i niezmordowany pracownik, chlubę imieniowi polskiemu przynoszący! Doktor Raciborski pozostawił wdowę i jedną tylko córkę zaślubioną znakomitemu lekarzowi w Paryżu Dr. de Mouy.

Pokój wieczny jego cieniom!!!...

Paryż dn. 26 maja 1871 r. **Ciborowski Adam.**

Pan prezydent miasta Krakowa w kłopotach.

Obrazek sceniczny w 2 aktach

napisany przez

Józefa Narzymskiego.

(Dalszy ciąg.)

Scena VIII.

Lichocki. — Antek.

Antek. Cy tu pan Lichocki mieska?

Lichocki. Który? Bo ich jest dwóch Filip a drugi Walenty, sekretarz Magistratu.

Antek. Ten co to był prezydentem miasta.

Lichocki. To ja jestem. — Czegóż chcesz, nieprzymierzając, odemnie?

Antek (biorąc się pod boki.) Przysłał mnie tu pan Kapitan, zebyś się jegomość do niego na muśtrę stawił.

Lichocki. Co?... co?... ja?... na mustrę?... jaki Kapitan?...

Antek. Dutkiewic zeźnik!

Lichocki. Dutkiewicz!... ja żadnego Dutkiewicza nieprzymierzając Kapitana nie znam... i w żadném wojsku Bogu dzięki nie służę!... A to mnie się podoba, nieprzymierzając!...

Antek (kręcąc głowę.) Ta... ta... ta... nie kłamałby jegomość!... Znas jegomość dobze pana Dutkiewica! pzecies od niego flaki i mięso biezeta dzień w dzień darmo! Oto, ten Dutkiewic jest jegomości Kapitanem municypalnym i mata jegomość stanąć bez zawodu u niego jutro na muśtrę.

Lichocki (oburzony.) Co mi tu gadasz!... ty chamie jakiś!.. Mnie, prezydenta, prosty chłop, rzeźnik ma mustry uczyć, nieprzymierzając!... A to mi się podoba! Adyć ten twój pan rzeźnik fuzyjki sobie nie nabije!... od saméj młodości byki i cielęta tylko bijał!... i na stopkę w żadnym wojsku nie był!... I mnie, prezydenta, chce mustry nieprzymierzając uczyć!...

Antek (ostro.) A co to!... Jegomość będzies tu bluźnić panu Kapitanowi i całemu municypalnemu stabowi!... Dobze!... dobze!... Doniosę ja to zaraz i będzies jegomość widział!... (chce wychodzić)

Lichocki (zmieniając ton, łapie go za ramie.) A mości dobrodzieju!... a jaka gorączka!... poczekajże pan Dobrodziéj!... proszę siadać... bardzo proszę!.... (przystawia mu fotel) tu, na taboreciku! bez ceremonji sobie, bardzo proszę!... (nalewa wina) ja tu

nic nie mówię przeciw sztabowi patrjotycznego grona!... niech mnie Bóg broni!... co znowu!.... No! winka szklaneczkę... a tym czasem wyeksplikuję się, nieprzymierzając, panu Dobrodziejowi....

Antek (pijąc.) A po co jegomość tak gadał!...

Lichocki. Ale panie Dobrodzieju!... ja nic złośliwego nie gadał!... ja pana Dutkiewicza, nieprzymierzając, szanuję.... szanuję... (dolewając wina) pan Dobrodziéj pewnie u niego za rzeźnika?...

Antek. Ba! prawda, za zeźnicka, ale nie terminatora tylko juz wyzwolonego towazysa....

Lichocki (dolewając wina.) Aha! nieprzymierzając, to ślicznie!... No, jeszcze kropelkę!... Bo to widzisz mospanie towarzyszu wyzwolony, żeby mnie, mnie.. nieprzymierzając, prezydenta śmiał pan Dutkiewicz mustry uczyć!...

Antek. Ale pzecie jegomość prezydentem już nie jesteście.

Lichocki. To nic!... ale byłem... byłem (z przejęciem) a godność taka panie towarzyszu wyzwolony, nigdy się nie ściera... nigdy, nieprzymierzając, jak chrzest święty!...

Antek. Aha!... juz wiem... rozumiem, rozumiem...

Lichocki. Otóż on, rzeźnik, on, który taktyki niezna i chyba tylko, nieprzymierzając, z kijem po rynku manewrował... przyznaj pan dobrodziéj sam, czym nie miał przyczyny się otrząsnąć i ostro stawić panu dobrodziejowi... za co mocno przepraszam...

Antek. No, no,... ale niech jegomość pamięta, ze ja nie terminator!....

Lichocki. Nagrodzę ja to pokrzywdzenie panu dobrodziejowi... gdy flaki u was kupować będę, to się i panu za machęrzyne jako towarzyszowi wyzwolonemu, choć trojak na kubek wódki okroi... Ale powiedz mi pan dobrodziéj na co, nieprzymierzając, ta mustra się przyda?... jeden ma berdysz!... drugi piłkę, trzeci fuzyjkę, czwarty obuch, piąty widły, szósty wiatrówkę, siódmy topór, ósmy krucicę, dziewiąty widelec na drążku, dziesiąty pistolet, nareszcie miotłę i inną broń municypalną.... I wołają na mustrę!... a jak nie staniesz to cię obwieszę!... panie dobrodzieju!... osądź to delikatnym rozumem, na co się to przyda (dolewa mu wina).

Antek (trochę pijany.) At! co jegomość wies! jak kupa to kupa byle ostro!... a z panem Kościusko to i tak pobijewa! Ale jegomość moze mas prawdy troche, tylko ze to nie wszystkich będą pewno mustrować!.. a!... nie!... tylko maserować!

Lichocki. Ah! dla Boga!... co Waszmość mówisz! Jezus Marja! to nieprzymierzając gorzéj jeszcze!... A gdzie my to mamy maszerować! A gdzie nas to pan Kościuszko chce wyprowadzać!... prawda, że jednakie wszyscy mamy nogi, ale my, co swoje posesje w tém mieście posiadamy, niechcielibyśmy jednakowo maszerować z tymi sankciolotami, co nic nie mają... A nawet nieprzymierzając i prawo nie pozwala na takie excesza... poczekaj jeno Waść!... zaraz ja tego dowiodę (wychodzi na lewo.)

Antek (pijany). Co tam jegomość o prawie gada!... pan Nacelnik to prawo!... wara gadać na Kapitana Dutkiewica!... bo jak uznę obuchem!...

Lichocki. (wraca z wielką księgą.) Patrz jeno waść!... to nieprzymierzając statut Saksana!...

Antek. Saksona? a co to takiego?...

Lichocki. To prawo!.... Artykuł 14 opiewa: (czyta) „Ktoby się ex municipio ważył lud wyprowadzić, naprzód sto plagami ukarany będzie, a na powtór śmiercią“... (padając na książkę) słyszał waszmość?... przeczytaj sam...

Antek. Ano!... tylko, że jakoś dojzeć nie mogę... możeby mi jegomość dał okulurów...

Lichocki. A proszę... bardzo proszę... (daje okulary)

Antek (udając że czyta.) A prawda!... prawda!... juścić to stoi.

Lichocki. Bodajeś ty tak pękł, nieprzymierzając, jak ty umiesz czytać...

Antek (niby przeczytawszy.) A no, co z tego?

Lichocki. A to to, że, nieprzymierzając, pana Dutkiewicza czeka sto plag jak będzie maszerował..... a pan Kościuszko może sobie oberwańców i uliczników wyprowadzać, ale nie osiadłych obywateli mających posessje w mieście!...

Antek (mocno pijany). Tylko o Kościusce ani mrumru!... to kochany pan!... (wstając) No cóz? jegomość nie przyjdzie?...

Lichocki. A nie... to jest...

Antek (rozczulony.) Niechze jegomości Bóg da zdrowie za te krople wina (ściska go, Lichocki się krzywi), Mój jegomościuniu drogi!... zal mi jegomościunia... takie mas wino!.. ale cóz robić!. będzies wisiał!... (odchodzi).

Lichocki. Co... jak? panie Dobrodzieju!...

Antek (za drzwiami.) A twój Saksan cię nie wyratuje!... wszystko Kapitanowi powiem!....

Lichocki. A Jezus Marja!.... A bodajżeś przepadł.... a wino wypił... na taburecie siedział!.. a zdrajca!... Tom sobie piwa nawarzył!... Mój ty Boże!... Scholasiu!... Andziu!...

Scena IX.

Lichocki — Scholastyka — Andzia.

Scholastyka i Andzia (wbiegają z lewéj strony.) Co się stało?... co się stało?....

Lichocki. Do wojska mnie biorą!.... (pada bezwładny na fotel).

Andzia. Jak? co?... co papa mówi?...

Scholastyka. Rozdrażnienie nerwowe wywołane!...

Lichocki. U Dutkiewicza mam się mustry uczyć... tak... tak... ja... ja... (wchodzi Zawadzki.)

Scena X.

Ciż i Zawadzki.

Zawadzki. Niech będzie pochwalony!....

Lichocki (radośnie.) A! pan cyrulik! Bógże łaskaw na mnie! (ściska go) nieprzymierzając w samą porę!...

Zawadzki. Abo co? musi być krew komu puścić!... czy bańki stawić?...

Lichocki. Ale gdzież tam!.... gdzież tam!.... Może kapeczkę winka!....

Zawadzki. Nie obywatelu!... wczoraj musi być chrzciłem mego chłopaka!... Na imię mu Tadeusz.... łeb mnie dziś boli... gwardja się zeszła do swego rotmistrza!...

Lichocki. Aha! wiedziałem, że to pan cyrulik rotmistrzem został!... winszuję, winszuję — godniejszego, nieprzymierzając!...

Scholastyka. Zaszczytne to miano: rotmistrz!... Rotmistrzami bywali nawet rycerze!....

Andzia (n. s.) Rotmistrz, a zawsze na cyrulika wygląda!...

Zawadzki (skromnie.) Niezasłużenie... niezasłużenie musi być mnie ten zaszczyt spotkał.....

Lichocki. Otóż ja do pana Rotmistrza mam prośbę wielką! w straszném jestem nieprzymierzając utrapieniu!....

Zawadzki (siadając.) No.... no... słucham panie Filipie musi być, słucham!....

Lichocki. Ten Dutkiewicz!... ten nieprzymierzając chłop rzeźnik... kazał mi przez ordynansa stawić się na mustrę...

Zawadzki. O!... o!... o!... musi być!...

Scholastyka. Jezus Marja!.... pan Filip pod karabinem!... koniec świata!....

Andzia (n. s.) Biedne ojczysko!...

Lichocki. Ratuj mnie panie rotmistrzu od téj dyffamacji!... Toć to nieprzymierzając, krzywda mieszczaństwa!.... ja byłem prezydentem!.... ja mam possesję!....

Zawadzki. O! o! prawda!.... prawda!.... obywatelu!.... nie wiem nic o tém!... panowie Kapitanowie musi być obsyłają kogo chcą a nam nie meldują... Nieporządek.... nieporządek!... jak to u nas!... nieuszanowanie dla starszych... Musi być Dutkiewicz zły na obywatela, żeś go za zawody, próżniactwo i musi być niedoważanie mięsa karał!....

Lichocki. A pewno!... pewno!....

Scholastyka. Nawet nam flaków i krzyżówki teraz nie chce dawać....

Zawadzki. O!... o!... o!... Kto to słyszał, żeby obywatel, dziedzic i gospodarz, possesor musi być dwóch kamienic i dworku chodził, musi być, w pole za Dutkiewiczem, który tylko jest dziedzicem na drewnianym szlachtuzie, dwóch baranach i, musi być, jedném cielęciu...

Lichocki. Prawda! panie rotmistrzu! to byłoby nieprzymierzając horrendum!.... exorbitacja!.... wołająca o pomstę do Boga!....

Zawadzki. Rozumie się... rozumie!.... Musi być, oszalał ten grubian rzeźnik, żeby tak po chłopsku prześladować obywatela słusznego... musi być, dawniejszego naszego prezydenta!... ja mu będę pamiętał!...

Lichocki (uradowany.) Niech panu rotmistrzowi Bóg to stokrotnie wynagrodzi... A zatém, nieprzymierzając, ja już niepotrzebuję chodzić na mustrę!...

Zawadzki. A to co innego obywatelu!... Mamy musi być, ordynans od komissji, że każdy służyć powinien....

Lichocki. Chryste panie!... a mój Boże!... (porywa się gwałtownie) o ja!... nieszczęśliwy!...

Scholastyka. Ojciec familji, prezydent, iść na wojnę!... nigdzie nie czytałam o tém!...

Andzia. I niema rady?

Zawadzki. Rada jest... posłuchaj obywatelu (poprawia pasa, szabli i wąsa wszyscy się gromadzą koło niego). Daj prędko umundorowanego, musi być, za siebie człowieka, poślij go dziś o trzeciéj do mnie ja go w role wciągnę i zamelduję... ale musi być zdrów i krzepki, żeby go władza zaakceptowała...

Lichocki. Ale zkąd wziąść tego człowieka..

Scholastyka. O zdrowych i krzepkich tak trudno..... w dzisiejszém pokoleniu!...

Zawadzki. Ja tu mam na oku jednego... możeby on i poszedł za dobre pieniądze!...

Lichocki (wachając się.) Za dobre pieniądze!...

Zawadzki. A juścić darmo musi być obywatel zastępcy nie znajdziesz... Dałby Bóg, żeby aby przystał...

Lichocki. A możeby pan Rotmistrz, nieprzymierzając, poszedł zemną... do tego... możeby taniéj jakoś... bo ja...

Zawadzki. Czemu nie? Musi być! lubię pomagać!... oho! nie takie ja interesa leczył, załatwiał, i wykonywał... No chodź obywatelu Lichocki!...

Scholastyka. Panie Cyruliku! panie Doktorze co ja z memi humorami zrobię....

Zawadzki. O! o! o! rumbarum pani dobrodziejko.... rumbarum... zawsze powtarzam... a będzie dobrze! jakem Doktor...

Lichocki. Jednak człowiek co ma do czynienia z brzytwą to zawsze co innego, jak chłop co macha toporem, albo nieprzymierzając obuchem byki bije!.... Ale ten zastępca znów będzie kosztować.... oj ojczyzno!... ojczyzno!...

Zawadzki (przy drzwiach). No obywatelu!... czekam musi być!....

Lichocki. Idę... idę... (wychodzą).

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Szkice z podróży w Tatry

przez

Walerego Eljasza.

(Ciąg dalszy.)

Z ludzi pochłonęły już Tatry pewną liczbę; z podróżnych wiadomo mi tylko o jednym wypadku, bo ci zwykle ostrożnością się odznaczają w przeciwieństwie górali lekceważących sobie niebezpieczeństwa, zatém pasterze wypełniają tę nieszczęsną kronikę śmierci. Łażąc ciągle z owcami dla paszy po urwiskach nabierają wielkiéj śmiałości, któréj nadużycie przyprawia ich o utratę życia lub zdrowia. Przy zwiedzaniu gór wdając się w rozgowory z szałaśnikami, wszędzie napotykałem wspomnienia smutnych wydarzeń, a nawet zdarzało mi się pokaleczonych świeżo oglądać. W Czerwonych Wierchach koło skały zwanéj Ratuszem zginęła dziewczyna, a dopiéro pies leśnego odnalazł już z niéj kości. W dolinie Pięciu Stawów śnieg spadły w lecie przeciął powrót kilku jagniętom, które się zabłąkały w turniach Buczynowych. Poszedł po nie juhas, ale przy sprowadzaniu spadł tak gwałtowie, że go pas gruby skórzany szeroki, którym się o skałę zaczepił, od śmierci nie ochronił. Potargane straszliwie zwłoki odnalazł drugi juhas i tam nanosiwszy zwiru, zagrzebał.

Z podróżnych tylko junaki, lekceważący wszelkie przestrogi doświadczali złych następstw z tego powodu, gdy prawdziwie przypadkowych pokaleczeń bardzo małoby się dało zebrać. Wrodzona obawa o życie zmusza każdego do ostrożności na każdém niebezpiecznem miejscu, gdyż to już samo przez się na umysł silnie oddziaływa. Czasem zły przewodnik lub niesłuchanie rad dobrych stają się dla podróżnego przyczyną nieszczęścia. Lat temu może 15, gdy pewne grono osób ze Szmeksu udało się na Łomnicę; między niemi był jeden akademik, syn magnata węgierskiego. Wyprzedzał on towarzystwo, a że ścieżki na szczyt wiodą zakrętami, znikł im raz z oczu, co jednak nie zwróciło

uwagi towarzyszy, aż na wierzchołku góry. Poszukiwanie rozwiązało zagadkę, znaleziono bowiem na urwistém miejscu ślad odzieży ponad okropną przepaścią, ale zwłok nie było. Zawiadomiony ojciec zaginionego naznaczył sutą nagrodę za znalezienie ciała, czém górale zachęceni poczęli śledzić i z pomocą lin zapuściwszy się w przepaść, znaleźli biedaka potarganego do niepoznania.

Gdy trawa na górach pożółknie, traci pierwiastek pożywczy dla owiec, a nastają żniwa we wsiach, schodzą pasterze z hal z owcami i krowami, konie tylko i woły zostają na pastwiskach do jesieni. W końcu wszystko w doliny schodzi, góry stoją pustką, jedynemi mieszkańcami bywają tylko dzikie kozy, zwane kozicami, i świstaki, małe zwierzątka. Ani kozice ani świstaki nikomu nic złego nie robią, są ozdobą gór i nigdzie ich w całych Karpatach nie ma oprócz w Tatrach; zdawałoby się, że żyją w turniach z zupełną swobodą, a jednak człowiek, najdrapieżniejsze stworzenie na świecie, i tam im nie daje spokoju. W Tatrach tak się na te biedne zwierzęta zawzięto, że o mało ich ze szczętem nie wytępiono.

Właściciele dóbr tak z polskiéj jak z węgierskiéj strony tłumnemi wyprawami, a wiejscy skrytostrzelcy pojedyńczo lub we dwu, tak zaciekle ścigali kozice, że już całe Tatry więcéj ich niż 60 sztuk nię liczyły. Wówczas dwóch rozgłośnie znanych w świecie naukowym uczonych, Dr. Eug. Janota i Dr. Maxym. Nowicki, miłośników przyrody, wystąpiło z całą energją i wytrwałością przeciw tępieniu tych zwierząt. Jako członkowie komisji Fizjograficznéj Tow. Nauk. Krakowskiego w jéj imieniu działali dla dobra fauny krajowéj. Mieli do czynienia z ciemnotą ludu i z zaślepioną namiętnością polowania właścicieli Zakopanego. Łatwiéj im przyszło pokonać ciemnotę górali niż namiętność tak zwanéj inteligencji. Wpływ moralny chronił prześladowane zwierzęta od skrytostrzelców, ale jawnych łowczych zapędy pohamowało dopiéro prawo na sejmie uchwalone, a przez cesarza sankcjonowane, które pod karą aresztu do 20 dni lub grzywny do 100 złr. zakazuje łapać lub zabijać kozice i świstaki. Sprawa ochrony zwierząt tatrzańskich ma swoją historję brzydką dla pp. Homolaczy, do której dostarczają wątku roczniki komisji Fizjograficznéj w Krakowie oraz akta w jéj archiwum zebrane lecz dotąd nie ogłoszone. Obecnie po kilkoletnich trudach i z własnéj kieszeni ponoszonych kosztach na utrzymanie straży dla opieki pomienionych zwierząt miłośnicy ojczystéj przyrody cieszą się owocami swych usiłowań. Tak kozice jak świstaki rozmnażają się i osadzają tam, gdzie ich od kilkudziesięciu lat nie było.

Strażnikami dla ochrony zwierząt w Tatrach mianowano dwu najznakomitszych przewodników, przedtém najsłynniejszych skrytostrzelców, Jędrzeja Walę i Macieja Sieczkę. Pełnili oni przyjęte obowiązki z wszelką energją i starannością, z narażeniem się na prześladowania pp. Homolaczów, dopóki Zakopane z wszelkiemi przyległościami nie przeszło na własność p. Eichborna. Komisja Fizjograficzna umiała w tym celu ludzi wybrać; Wala i Sieczka zapobiegali wszelkiemi środkami tępieniu kozic i świstaków, sprawców chwytali lub broń im odbierali. Jednego razu w jesieni wybrali się obaj w okolice Morskiego Oka dla obejścia dobrze im znanych myśliwskich stanowisk. Gdzieś koło turni Mnicha znaleźli oklepce, t. j. paści używane do łapania kozic, któremi chwycona, ginęła śmiercią głodową po krwawych mękach dobywania się z żelaznéj paszczy. Wala i Sieczka zabrali z sobą oklepce i wracali do domu z zdobyczą, gdy Sieczce przyszła myśl; „Mamy oklepce, rzekł, ale tego nie mamy, co je tu założył.“ Postanowili więc czekać na czatach, wyszukawszy sobie ochronne od deszczu stanowisko. Czekali cały dzień i całą noc, gdy się im ukazał góral o te czasy w turniach niemogący mieć innego celu, jak łapanie kozic. Poszedł on prosto do miejsca, gdzie były oklepce, i przy szukaniu ich strażnicy go ujęli. Związawszy mu ręce, wiedli go do Zakopanego wraz z narzędziem łowczém. Zapewne przez drogą morały kładzione w uszy przestępcy popierali dotykalniejszymi argumentami, można tak sądzić, znając nasz lud wiejski. Odstawiono go potém do sądu w Nowym Targu, gdzie odsiedziawszy sześć dni aresztu, wrócił do domu, mając w pamięci takich strażników, jak Sieczka i Wala.

Dziwną osobliwością jest w Tatrach wiatr halny; przypada on w jesieni, lecz nie każdego roku. Gdy się pojawi, powala najstarsze nawet drzewa, zrywa dachy, porywa i roznosi szopy i szałasy, a jeżeli zbiory jeszcze po polach nie zebrane, wydziera ze szczętem wszelki plon i roznosi po świecie. Zakopianie poznają go po uprzedzających znakach. Wieje on z południa od hal, ztąd halnym zwany, wypędza małe chmurki szybko z za wierchów, gnając je wprost na północ, nim się sam przedstawi w postaci istnego huraganu, niszcząc wszystko, co napotka. Górale się go bardzo boją i dlatego skoro się pierwsza zapowiedź jego na horyzoncie pojawi, chronią się z wszystkiém do domów, nawet spędzając bydło z pola.

W Zakopaném zbiera się wśród lata wprawdzie nieliczne, ale zato dobrańsze niż indziéj towarzystwo. Przyjeżdżają tu ludzie głównie dla zwiedzenia gór lub wytchnienia umysłowego, ci zaś, co szukają zabawy, interesów, odgrywania jakich tonów, choroby na panów, marnowania majątku jadą do kąpiel, Tatry dla nich dziką pustynią. Tu poznają się osoby, co się tylko z imienia znały, nie znać kordonów dzielących Polskę, na pogadance czas miło schodzi, więc chociaż i słota nastanie, nudzić się może ten, co się umysłowo zająć nie potrafi, co nie umie lub nie chce towarzystwa sobie poszukać. Spotykając w Zakopaném nieraz wśród znakomitości artystycznych, literackich różnych zawodów i wszelkich odcieni wymoczków salonowych śledziłem przyczyn pojawienia się takich okazów na jałowym dla nich gruncie; badania przekonały mnie o istnieniu mody, o warunkach dobrego tonu zajrzenia chociaż raz w Tatry, które się im barbarzyńskiemi wydają z braku wygód i komfortu. Grymasy ich śmieszne; bywa, że z pierwszéj lepszéj wycieczki jak barana przewodnik na plecach do wsi przyniesie, a potém opowiadają niestworzone rzeczy o Tatrach i prawią o niesłychanych przygodach, w czém albo bardzo mało albo wcale prawdy nie ma. —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Skrzynka do listów.

Kochanemu bratu Sokołowi, p. Henrykowi z pod Wiszni: Serdeczne zasyłamy podziękowania.

X... X X... w Bydgoszczy: Pocieszajmy się; Quod, bowiem, capita tot sensus!

Kochanemu prorokowi z ziem pruskich i towarzyszowi więzień berlińskich: Wysłaliśmy 50 egzemplarzy na ręce Friedleina w Krakowie.

P. Józ... Dob... w Xrakowie: Całość pracy pańskiéj nie jest bez wartości, ze zwrotów jednak tu i owdzie przegląda tłomaczenie z obcego języka; dla tego prosimy o wskazanie źródła, niechcielibyśmy bowiem zasłużyć sobie na zarzut plagjatu. Z tym warunkiem jak również z warunkiem niektórych zmian stylowych, chętnie pracę pańską przyjmiemy, oczekując jednak zawsze Jego w téj mierze decyzji.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.